

ANTONI GIEDRYS, syn Kasimierza i z domu Sienkiewicza, urodzony w 1908 roku, we wsi Juna koło Nowosybirska, w trzecim pokoleniu Polaków wygnanych na Sybir / po Powstaniu Listopadowym i po Powstaniu Styczniowym/.

Dziadkowie niewiele opowiadali, a pradziadków to ja w ogóle nie znałem. Nie rozmawiało się z dzieciakami; tylko odgarniało śnieg, paliło w piecu. Dziadek Giedrys to od Kowna, a dziadek Sienkiewicz nie wiem, skąd pochodził. Dziadkowie po Powstaniu Styczniowym byli przypędzeni do Nowinki. Moi dziadkowie i inne rodziny - Żbiczcy, Pargandzcy, Lewandowscy, Piotrowscy - całą zimę ich pędzono i powiedziano: tu budujcie się. Od początku budowali tę Nowinkę. Było to przy rzece Jenieseju, między rzeką Jaja i Gzułymu. Dokładnie nie wiem, bo nigdy tam nie byłem. Tam się osiedlili i rozmnożyli. Kiedy zaczęto budować Nowosybirsk część rodzin wyjechała. Potem po wybuchu wojny rosyjsko-japońskiej dziadek wyjechał z ośmiorgiem dzieci na wieś, bo w czasie wojny łatwiej można było <sup>tu</sup> wyżyć niż w mieście. Inne rodziny, jak Lewandowscy i Pargandzcy zostali i jeszcze tam są. Ja się z nimi kontaktowałem w 1977 roku, to mojej mamy charyzmatyczny synowie.

Dziadek ożenił się ze Żbicką, a ojciec z Sienkiewiczówną. Polacy tylko między sobą się żenili, a i księża do tego zachęcali. Ojciec był drugim synem dziadka, pierwszy syn Piotr wzięty na wojnę japońską zginął w Port-Artur. Było czterech braci a potem siostrzyczki, dziadek prowadził kuźnię, w której pracował i ojciec. Ze wsi Juna, gdzie się znaleźli, nie powrócili ani do Nowosybirska ani do Nowinki. Wieś ta była około 500 km od Nowinki i około 70 km od Nowosybirska. We wsi mieszkało 700 rodzin, a tylko jedna była polska. Ale nasza kuźnia stała na drugim brzegu

rzeki naprzeciw wsi. W 1907 roku dziadkowie pojechali odwiedzić rodzinę Żbickich w Nowince, na Boże Narodzenie. Mieli też myśl, żeby ożenić dwóch synów. Ojciec miał 24 lata / Kazimierz/, a młodszy brat był Jan. Jana też swatali, ale coś tam nie wyszło. A ojcu wyswatali Sienkiewiczównę i przywieźli ją do siebie. Matka moja była potem tylko dwa razy potem w Nowince. Daleko to było a potem była przecież Rewolucja, I wojna światowa i wojna domowa. Ojca i konia wzięli w 1914 roku na front. Ojciec był ranny pod Warszawą, jak Niemcy w 1915 roku nacierali na ruskie wojska. Ruscy uciekali i ojciec był ranny. Był w szpitalu polowym a potem w szpitalu w Nowonikołajewsku. Lewe ramię było przestrzelone czy przebite bagnetem, tego nie wiem. Na głowie miał szramę, a najgorsze, że nabawił się choroby św. Walentego /padaczka/. Było dużo Polaków w wojsku ruskim i myśleli, że ta Polska będzie, ale ojciec więcej o tym nie wspominał.

Ja urodziłem się w 1908 roku, we wsi Juna. Od pierwszej wojny światowej zacząłem cokolwiek zapamiętywać. Musiałem pilnować ojca w kuźni, gdy miał ataki padaczki. Od siedmiu lat pomagałem ojcu w kuźni. Jak miałem dwanaście lat to już konie kulałem. A w piętnastu latach, to już byłem dobrym fachowcem, reperowałem żniwiarki, brony, pługi. Z naszych znajomych nikomu nie udało się powrócić do Polski, po 1918 roku. We wsi, gdzie mieszkaliśmy byliśmy jedyną polską rodziną. Ze sto - sto pięćdziesiąt kilometrów dalej byli pojedynczy Polacy. Ale kontaktowali się na święta. Przyjeżdżali na Boże Narodzenie, Wielkanoc, Zielone Świątki. Zalewscy przejeżdżali i Warowscy. Śpiewali modlitwy, pojedli, popili. Pamiętam chyba w 1923 roku pośpiewali "Jeszcze Polska nie zginęła", a to po rzece niosło na drugą stronę do Rosjan.

Od 1914 roku do 1920 była straszna bieda. Zabierali żywność i ubranie to ci, to tamci. W naszej wsi był bunt w 1920 roku.

Wybito komunistów, około 50 a może i więcej. Od 18 lat wżwyż. To swoi wiejskie wybili. Komuniści przychodzili i zabierali, za jednym razem konie, innym razem chleb. To była grupa zabierająca na zasadzie wojennego reżimu. Po trzech przyjeżdżali, brali po dwóch swoich chłopów ze wsi i chodzili po chałupach. Mierzyli spichlerze miarką, przydzielali tyle, żeby dotrzeć do przedwiośnia, a resztę kazali bezpłatnie zawieźć do punktu zbiorowego, za tydzień przyszło wojsko z Nowosybirsk. Otoczyli wieś a chłopcy się pochowali. Zorganizowali sztab w banku i sprowadzali chłopów i roztrzeliwali w plebani papa. Potem zaczęli dokładnie dopytywać się, kto winny. Trzy dni byli, a wybili ze 250 ludzi. Prawie w każdym domu ktoś zginął i przy okazji zamożniejszych wybijali.

Po 1921 roku zmieniło się bardzo, gdy Lenin ogłosił NEP. Przedtem ludzie siali coraz mniej, tylko dla swojej rodziny by starczyło, a potem zaczęli więcej siać, bo musieli płacić tylko ustalony podatek, ale nie taki duży, a resztę sprzedawali. Dobrze też się rodziło /urodzaj/. Zaczęli sprowadzać konie belgijskie, świnie angielskie, krowy chyba duńskie, żniwiarki z Niemiec. Wszystko się budowało, bawilo, a wesela to po tydzień czasu wyprawiali. Świętowało się Boże Narodzenie trzy dni, Trzech Króli i Zielone Świątki też po trzy dni. Wszystkiego było pełno.

W 1926 i 1927 sam rozkwit. Znajomy mój CZiryj, murarzyk w Nowosybirsku przez 5 miesięcy zarabiał na cały rok. Zarabiał na cały rok dla rodziny liczącej sześć osób. Nam też się poprawiło, chociaż dziadek był prawie niewidomy, a ojciec kaleka i karciarz. W 1925 roku powrócił wujek z niewoli niemieckiej. Doreadził mi zrobić skarbonkę z blachy i codziennie odkładać. Zrobiłem ją i chowałem za miechem kowalskim, tuż przy ścianie.

Po czterech latach pracy otworzyłem. Było tam ponad dwa tysiące rubli, dosyć dużo jak na owe czasy. W 1928 roku ojciec z wujkiem znaleźli rzeczukę, w odległości 300 km od wsi Juna i około 21 km od Tomsku. Tam zaczęliśmy budować młyn, mały jedno-żarnowy. Na jesieni woda wzbierała w rzece tak, że utworzyło się nowe koryto i młyn został się jakby na wyspie. Na początku też był on mało wydajny, a dostojnik<sup>o</sup> zasiadało nas wraz z rodzeństwem osiem osób.

W 1929 roku młyn podciągnięto pod rozkułaczenie. Nałożono podwójny podatek i aresztowano ojca w styczniu 1930 roku, a mnie w lutym. Mamie staruszek, u którego mieszkała po odebraniu młynu, wymówił mieszkanie, braciśzków Piotra i Aleksandra wyrzucili z podstawówki i zmusili udać się do redakcji gazety "Krasnoje Znania Goroda Tomsk" z ogłoszeniem, że odcinają się od rodziców kulaków. Potem dostali zaświadczenie, dzięki któremu zostali przyjęci na pocztę do roznoszenia listów. Siostra Marysia została przez matkę oddana do adopcji chrześniakowi mamy Michałowi Antonowiczowi Kirwilisa<sup>owi</sup>, który w 1937 aresztowany przez NKWD zniknął bez śladu. Jego żona aresztowana później. Ale Marysia udało się skończyć szkołę nauczycielską / dużo później/, a z czasem nawet wstąpiła do partii. Matka moja, zanim zdecydowała się oddać córkę na wychowanie, próbowała w rozpaczycy rzucić się z dzieckiem pod pociąg w Tomsku, ale ludzie odciągnęli ją od torów.

Co do mojego aresztowania : nałożono obowiązek na kulaków dowiezienia czternastu metrów sześciennych drzewa, a biedniacy mieli przywozić tylko sześć metrów sześciennych. My byliśmy biedną rodziną, to i przywoziłem tylko sześć metrów. Zawiadomili, że trzeba zgłosić się do gminy, milicjant tam był i zaprowadził

mnie do Tomsku. Dali wolną rękę przemocować, gdzie kto może, a potem stawać do sądu na określonej godzinie. Sąd był w składzie czterech osób, pytali się, dlaczego nie <sup>przywiózłem</sup> wywieźć, a co przeszkadzało? Nas wzięło to do ambicji, dlaczego my mamy po czternaście metrów a biedniaki tylko po sześć. Z naszej wsi wzięto pięciu takich kulaków. Skazano każdego na rok więzienia lub trzy lata zsyłki. W więzieniu było bardzo dużo ludzi. Cele były niewielkie i jak kładli się spać na beton, to wszyscy musieli leżeć na jednym boku. W więzieniu pracowałem w ślusarni, po osiem godzin dziennie. Tylko mnie jednego z tych pięciu puścili do ślusarni i tego pilnowali. Potem zgłosiłem się do pracy w lesie, bo tam lepiej dawali jeść. Jedna zmiana to było dziesięć - dwanaście godzin pracy, a z lasu do stacji kilkanaście kilometrów. Pracowałem z popem Kamińskim, ale on był niezwyčajny pracy i cały ciężar szedł na mnie, aż dostałem przepukliny. Potem pracowałem w kółchozie należącym do więzienia. Wreszcie przez znajomości udało mi się dostać pracę w cegielni, stamtąd chodziłem do Tomsku do adwokatów. Puszczali tych, co do których mieli zaufanie nie oficjalnie, bo to i cegielnia była ogrodzona, posterunki stały. Adwokaci chętnie przyjmowali sprawy i spisywali wszystko. Ale w sądzie coś się przeciągało. Miałem operację przepukliny i nie dowiedziałem się czy coś tam wyszło. Chociaż odbyłem rok więzienia wygonili mnie na zsyłkę /kulak i Polak/ gonili nas przeszło sto osób w zimą na roboty leśne. /ośrodek drzewnego przemysłu Okuniewka/ Uciekłem <sup>dzięki temu</sup> tam, że trzeba było zorganizować tam kuźnię. Powiedziałem, że przywiozę swoją kuźnię, bo narzędzi było niewiele i dali mnie przepustkę. Szedłem pieszo 200 czy 300 km i nie wróciłem, ale w swojej wsi zgłosiłem się do pracy na budowie kolei jako kowal. Tam było tych pięciu z więzienia, których po prostu wypuszczono do domu. Władzy, która budowała kolej zależało tylko na pracy, nie patrzyli na ludzi. Byłem tam cztery i pół miesiąca.

Potem dostałem się do pracy w kopalni węgla, w miejscowości Bobankowo jako kowal, ale po dwóch tygodniach doszli, że byłem krukakiem i musiałem uciekać. Kupilem od zastępcy przewodniczącego gminy Kutaszowa Pawła blankiety wyrwane ze szkolnego zeszytu z kwadratową pieczęcią u góry, z lewego boku, a na dole w prawym rogu pieczęć okrągłą. Powiedział mi: "pisz na tym, co chcesz". I pisałem, że jestem z 1910 roku, żeby mnie nie wzięli do wojska, bo mój rocznik był już poborany, a dezertorów wysyłano do kopalni węgla. Za sekretarkę podpisywała się mama, a za przewodniczącego gminy ja sam. Stąd z Żarskimi pojechałem do Azji Środkowej, do miasta Isfara, w Taszkencie koło Samarkandy. Tam praca była lepiej płatna i ukryć się było można. W Isfarze spaliśmy w wielkich namiotach po piętnaście rodzin w jednym. Obiady były w stołówce. Było głodno i chłodno. Po roku mój obecny 1910 rok był poborowy i musiałem uciekać, a Żarscy zostali. Pojechałem do miasteczka ANA Andżero - Surdżanisk, mieszkał tam ojciec u stryjecznego brata, który był dyrektorem pralni i kąpieli. Ja mieszkałem u kolegi Wysilija Pietruczenko bez meldunku. Spałem u niego, a całe dnie starałem się spędzać w pracy i tak stawiałem piece przez całe lato jako zdun. Zobaczyłem ogłoszenie o kursie kierowników, ale trzeba było mieć 7 klas szkoły podstawowej, dali mi książkę nie umiałem przeczytać ani napięć "rozpiski". Odmówili. Później nauczyłem się trochę czytać i pisać, ale teraz chcieli koniecznie cenzurki. Powiedzieli jednak, że jak popracuję w garażu, to przyjmą, bo będę już więcej wiedział niż ci od koni i krów. Kierownik garażu zapytał: "kto ty?" odpowiedziałem: "ja, czkowiek". On: "ja widzę, ale jakiej specjalności?" Nówię; że jestem: kowalem, drwalem, zdunem, murarzem i ślusarzem. Ale im trzeba było ładowaczy. Więc zgodziłem się za ładowacza. Pracowałem i jeździłem nawet i sam, na caratowskim jeszcze samochodzie. Woziliśmy kapuste,

e czasami cegłę. Wzi<sup>4</sup>łem zaświadczenie do przemeldowania, a na nim było napisane, że pracuję w garażu i że zaświadczenie wydane jest na własną prośbę. Teraz właśnie poszedłem na kurs, wpłaciłem 150 rubli na i przyjeżdża mnie. Sześć miesięcy trwał kurs, a ja już byłem obeznajmiony z samochodami, bo w narsędziowni jak pracowałem, to o wszystko pytałem mechaników. A ci nawet chętnie mówili. Po czterech miesiącach pozwolili mi prowadzić nowe samochody "AMC-2", bo automobil klub za mnie poręczył. W Nowosybirsku zdaliśmy egzaminy i pracowałem w kopalni nr 57 jako kierowca. Tymczasem wujek dostał emeryturę i nakaz wykwaterowania na wieś, bo tam miał domek rodzinny. Razem z nim musiał wyprzewodzić się mój ojciec, bo był sublokatorem, ojciec wyjechał do kolchozu. Ja poszedłem do "roboczego fakultetu". To był kurs szkoły podstawowej, od 16<sup>30</sup> do 21. Jednocześnie pracowałem jako kierowca w straży pożarnej od szóstej do czternastej. Na drugi dzień odwrotnie, na pierwszej zmianie uczyłem się, na drugiej pracowałem. Przewodniczący automobil klubu chciał, żebym jeszcze wykładał jako instruktor, dlatego od tej pory codziennie pracowałem tylko na pierwszej zmianę. Wtedy też zaczęli zauważać, że jestem uciekinierem. Ja zaś przepisałem się na 1912 rok urodzenia. Przeszedłem pewnego dnia do "roboczego fakultetu" patrzeć a tu na tablicy ogłoszenie "Giedrys Antoni Kazimiryecz iskluczaje tsja iz gornowo Rabfaka jako jawno kulacki element". Przeszedłem do straży pożarnej a komendant mówi: "o przyszedł wilk w człowieczej skórze." Idę, a tu mnie tak w piersiach bierze. Wszedłem do sali akumulatorenej, tam stał agregat do pompowania kół 380 volt chciałem ja życie skończyć i dotknąć przełącznika, ale wstrzymałem rękę, przeżegnałem się i wyjechałem. Byłem ze trzy dni u ojca, a potem w Tomsku całe lato piece stawiałem. Zarabiałem dosyć

dobrze. Piece postawiłem w szpitalu Niekrasowskim, kinoklubie Maksyma Gorkowo, potem w zakładach stolarskich, zobowiązałem się do odnowienia dwóch ogromnych piecy podjąc, że pracować będzie brygada w składzie - moim i moich dwóch braci. Tymczasem Aleksander był w więzieniu, a Piotr ukrywał się u ciotki Geli w Leningradzie, na szczęście prace udało się ukończyć i to nawet przed czasem. Dzięki potrójnej zapłacie udało mi się kupić mamie palto ciepłe, a ojcu kożuch długi i buty strażackie. Wtedy tato i mama pracowali ciężko w kołchozie, spali na podłodze i okrywali się tym kożuchem. W tej samej chałupie mieszkali jeszcze trzy rodziny. Małżeństwo z dzieckiem, kobieta z synem uciekinierem z zyski, panna Zosia, także uciekiniarka z zyski. Wszyscy pracowali w kołchozie za dzienne utrzymanie. I [redacted]

[redacted]. Później całą zimę spędziłem u ciotki, ukrywając się, jeśli była potrzeba za piecem. Potem pracowałem jako kowal bez dokumentów w 'Kobroni', ale dyrektor powiedział ciotce, że to nieważne, była <sup>była</sup> tylko robila. Nicdużo płacili, jedzenie nie było dobre. Jednego dnia przy pracy patrze, a tam ojciec idzie. Podszedłem do niego, a on mówi, że dokumenty mi z Moskwy przysłali i mam prawo na "pracę, odpoczynek i wykształcenie" /"trud, addiech, obrazowanie"/ Kiedy w więzieniu pracowałem w cegielni, to składałem o dokumenty u adwokata. I to w Moskwie chodziło ze dwa lata, wreszcie przysłali do ciotki. Ucałowałem dokument i na drugi dzień poszedłem do dyrektora. Powiedziałem, że muszę jechać zebrać rodzinę. Dyrektor mówi, że nie może puścić. "Przettrzymałem przez najgorszy czas dla ciebie, a teraz mnie grozi zryw rocznej kampanii". Zatrzymałem się na trzy tygodnie, ale on znów zwlekał. Poszedłem do jego domu i żona jego spytała, co ze mną jest. Jak opowiedziałem o sobie i rodzinie, to aż się popłakała i powiedziała, że jutro dostanę "wypisku".



Służyłem w magazynach wojskowych, wysłaliśmy amunicję i ładowaliśmy łuski, które odsyłano z frontu. Trwało to prawie rok czasu. W grudniu 1942, wysłali grupę żołnierzy, w tym i mnie, pod Stalingrad. Długo nas więzili i nie trafiliśmy tam, bo Stalingrad był już wyzwolony. Dowieźli nas pod Moskwę do Grochowieckich Łagierach, stamtąd kierowców rozsyłano do pułków. W Moskwie jak przyszedłali to zawołali do okienka mnie i Drewnowskiego. "Jak nazwisko" "Giedrys", "to Polak", "Polak", "a gdzie się urodził?" "w Nowosybirsku", "a kaciż z ciebie Polak?", "a mówić po polsku umiesz?", "Nie", "no to co za Polak?". Ja nie odpowiedziałem, bałem się więcej mówić. Drewnowskiego wtedy poznałem. Był nawet kandydatem partii, też wnuk zesłańców. Słyszałem o armii Andersa, ale nie mogłem się dostać, bo byłem taki Ruski-Polak, a takich nie brali. Czytałem też w gazecie o armii Berlin- ga. Kazali mnie i Drewnowskiemu odjechać z powrotem. Wszyscy inni kierowcy zostali, jechaliśmy pociągami i wysiedliśmy na stacji Pietuchowo. Było to w maju. Położyliśmy się w kryjce i odpocząć. Miałem pakiet dostarczony przez komisję, zapieczętowany. Ja odlepiłem pieczęć i przeczytałem, że "Giedrys i Drewnowski naprawiają się do polskiej dywizji im. Kościuszki". Prędko ja to odpisałem w dwóch egzemplarzach i zakleiłem pakiet. W Moskwie o to nie prosiłem, nie było czasu. Sami napisali: "skierować do polskiej dywizji". Pułkownik w Grochowieckich Łagierach chciał nas skierować do miasta Gorkowo na kursy inżynierskich maszyn. Ale ja mówiłem, przecież napisano, że do polskiej dywizji. Powiedział tylko: "idźcie do koszar, a potem pojedziecie do Gorkowo". Tam przyszedł dydek, który był sekretarzem, i mówi, że on też Polak i też chciałby do polskiej dywizji. Opowiedziałem mu i pokazałem odpis, on poszedł i powiedział pułkownikowi, a ten oficerowi informacji i propagandy. Oficer krzychał, że mi za otwarcie pakietu grozi rozstrzelanie, pobit pistoletem po głowie i na konie

Miałem świstki z Tomska, gdzie stawiałem piece, ale to ratowało mnie tylko w kolejce za chlebem, a z "wypiską" musiałem się zgłosić do komisji poborowej. Pojechałem do Nowosybirska i po sześciu latach korespondencji bez osobistego spotkania znalazłem swoją miłość dziecięcą Katarzynę Szagin, córkę Jana i Serafimy, Rosjankę. Pobraliśmy się w 1936 roku. Kupiliśmy <sup>w Anserce</sup> baraczek. Przyjechała mama z bratem Marcinem 11 lat, potem ojciec, potem Aleksander 23 lata zwolniony z więzienia, wreszcie brat Piotr, który będąc w Moskwie malarzem pokojowym rozpił się mocno. Na Boże Narodzenie śpiewaliśmy cicho zabronione kolędy. Pracowałem najpierw jako kierowca w zespole dwuosobowym, wykonując robotę przeznaczoną formalnie dla czterech. Potem pracowałem w Zjednoczeniu Szkół i Teatru Wielkiego, ale z powodu zimy zostałem zredukowany. Mieszkaliśmy spokojnie do 1939 roku, wtedy powołali mnie do wojska na Daleki Wschód. Byłem tam w batalionie roboczym, budowaliśmy w Mandżurii wielkie forty obronne, do 10-12 metrów w głąb ziemi. Na jeden bunkier szło do 500 ton betonu i kilka ton zbrojenia. W wojsku mówili w 1939 roku, że wyzwalamy Ukrainę i Białoruś "spod polskawo buta". Ja rozumiałem z tego tylko tyle, że znowu okupują kraje przybaltyckie. Polacy byli w innym plutonie i mało o tym rozmawialiśmy. W październiku wróciłem do Nowosybirska i pracowałem w straży do wojny. Ojciec mówił mi: "no, tak wyzwalamy, ale Polaków pchają do lasów". Tato wychodził na dworzec, gdzie pociągi się zatrzymywały / stacja Nowosybirsk / rozmawiał z ludźmi z wagonów. Ale my o tym nie rozmawialiśmy między sobą. W pierwszej mobilizacji mnie nie wzięli, bo i Polak i z kulackiej rodziny, znaczy się niepewny człowiek. Trzech kierowców wzięli w pierwszym dniu mobilizacji, tylko mnie zostawili. Powołali 8 sierpnia 1941, znowu na Daleki Wschód.

Na drugi dzień znowu pytają: "gdzie chce jechać, na kurs czy do polskiej dywizji?" Odpowiedziałem, że jestem Polakiem i chcę do polskiej dywizji". Dali mnie i Drownowskiemu pakiet, a na nim było napisane: "naprawiajatsja do polskiej dywizji in. T. Kościuszki". Zagierjasiele i pieczętki. Tego pakietu już nie otworzyłem. Zabrali nam gwiazdki, pas i owinaczki. Po przyjeździe do Moskwy, cały dzień zwiedzaliśmy miasto, wszystkim patrolom pokazując ten pakiet.

Zdarzyło się, że gdy jechaliśmy do Grochowieckich Zagieriew pociąg zatrzymał się. Wyskoczyłem coś kupić w bufecie, a tam sami mężczyźni - kolejarze i wojsko i tylko jedna kobieta. "Wyrzucili mnie z wagonu" mówi "cywilom nie wolno jeździć pociągami a w domu troje dzieci". Synka miała ze sobą ośmioletniego. Wziąłem od Drownowskiego czajnik, podskakuję w nim i krzyczę: "O Katia, co ty tu robisz?" miała cztery tobołki z gruszkami i kartoflami. Wziąłem to od niej, ona bała się, żeby żołnierze nie skradli. Wsadziłem synka, miał na imię Wiktor<sup>ka</sup>, ale z Katia tak nie można było. Konduktor nie puszczał, więc ja krzyczę: "Ja tu na front idę ginąć, a siostry wziąć ze sobą nie mogę?" Żołnierze też krzyczeli. Pochwycili ją i wsadzili do wagonu. A ona tylko patrzyła, gdzie te worki. Zapiisałem adres. Jak już jechaliśmy do dywizji i chodziliśmy po Moskwie, ciemno się zrobiło i chcieliśmy przenoćować na dworcu, ale nas wygonili. Poszliśmy do tej kobiety. Jak weszliśmy, powiedziała do męża, że "to moi wybawiciele". Chcieli dać kolację, ale mieliśmy własne jedzenie, suchy prowiant na trzy dni. W mieszkaniu było strasznie ciemno, brudno, kanaluchy łaziły. Chodziły wiadomości o ludobójstwie. Mówili, że i w Moskwie to się zdarzało. Baliśmy się i wyszliśmy. Oni byli bardzo serdeczni i zatrzymywali nas, ale dziwnie jakos było, ja się bałem i poszliśmy. Dojechaliśmy do Sielc 28 maja.

Przyjęli nas bardzo ładnie, a wtedy było jeszcze mało wojska. Byłem w transporcie, a potem przenieśli mnie do dywizjonu moździerzy. Pod Lenino to ja nie trafiłem. Moździerzowców trzeba było wyszkolić, jeździliśmy na ćwiczenia. Trochę uczyłem się polskiego, kursu żadnego nie było. Trudno było, ale ja nie obrażałem się, z przyjemnością się uczyłem. Dużo było rzetelnych kolegów, ale to w moździerzach. Wśród kierowców więcej było takich ruskich Polaków, którzy nie mówili po polsku. Większość była zadowolona, bo w polskiej armii było lepsze karmienie. Kto tylko wyrwał się z ruskiej armii do polskiej, to wszyscy byli zadowoleni. Pierwszego stycznia 1944, zakładowali nas do pociągu i znaleźliśmy się pod Smoleńskiem i tam spotkali z tymi, co pod Lenino walczyli. W marcu byliśmy na froncie w kierunku Kowla, na rzece Turia /Turzysko/ pierwszy raz strzelaliśmy i po nas strzelano. 22 lipca w Chełmie na defiladzie witano nas kwiatami, wskakiwały dzieci na samochód i pytały, a co to u pana za kura na czapce? 4 października przyjechaliśmy z Falkengrau spod Berlina do koszar w miasteczku Szczekowo pod Krakowem. Ślicznie nas witali harcerze, nie spodziewałem się aż takiego powitania. Byłem wtedy kierowcą kapitana Pietuszewskiego. Zachowałem mocno i do Berlina doszedłem nie z moździerzowcami, tylko później jako kierowca. Na Reistagu napisałem: "Antoni Giedrys, gorod Nowosybirsk". Nie wiedziałem, że zostanę w Polsce. Kapitańca nie było wtedy, odstawiłem rzeczy, samochód. Za pięć dni po oczyszczeniu sprzętu, zwiedzałem Kraków. Podobają mi się miasto. Żołnierzy grupami zwalniano po kalkudzieśięciu, a Rosjanom pisano, że skierowani są do miejsca poprzedniego zamieszkania. Dostałem dokument kierujący mnie z powrotem do Nowosybirska. Najpierw byłem zdemobilizowany, 18 sierpnia 1945 roku i skierowany do Warszawy. Pułkownik złapał mnie: "to ty jeszcze nie wyjechał do Rosji", odpowiedziałem, że jadę do Warszawy.

Ten pułkownik Rosjanin rodowity Popow, zmieniony na Popowicza zabrał mi to polskie skierowanie i dał 10 października skierowanie do Nowosybirsku. Przez Legnicę miałem jechać, ale sekretarz Polak, który wypisywał poprzedni rozkaz mówi: "co ty, ja tobie znowu wypiszę do Warszawy". I wypisał. W Legnicy pokazałem skierowanie do Warszawy i dostałem nowe potwierdzające, że mam właśnie tam jechać. Ci inni "Ruscy\_Polacy" pojechali z powrotem a mnie tak udało się zostać.

W 1946 roku, jak było na wiosnę referendum, że straży pożarnej wyznaczili mnie na kierowcę, w tajemnicy mówili mi ufamy swoim, Polakom i gazikiem dolgowali mnie do PPR-u i jeździłem cały miesiąc. Pociągi jechały z zachodu na wschód i interesowało nas, co wywożą pociągi ruskie. Możecie się coś kupić? Na Radzy-  
mińskiej, jak zatrzymywały się pociągi na przejeździe, Zdzisio kierownik propagandy, kupował tylko granaty, pistolety, amunicję. A na platformach wagonów leżały maszyny - tokarki, szlifierki, frezarki. Wywozili z Polski, bo po skończonej wojnie większe obiekty przemysłowe zajmowało wojsko, część polskie, część rosyjskie. Nie wolno było do takiej fabryki wejść. Oni wywozili, żeby to nawet wymontowali, ale widziałem leży agregat, albo śruba wyrwana, albo kawał betonu jeszcze jest. "Czego wywożą?" mówię Zdzisiovi, a on mówi "a niech wiozą" i tylko się uśmiecha. Do jedni mówili, że będą wieszać; to PPR odpowiadał, że też będą wieszać.

Pracowałem w straży pożarnej i w 1952 roku wezwano mnie do rosyjskiej ambasady. "Dlaczego nie wróciłeś do Rosji?" mówią "Byłeś delegowany z Krasnej Armii musisz wrócić z powrotem". Matka przyjechała jako repatriantka, my do niej nic nie mamy, ale ty poszedł z Krasnej Armii i musisz wracać tam.". Ja mówię, że nie pojedę, a oni, że dają dwa tygodnie. Zapraszali całe lato i mówili, że wywożą. A ja, że życie sobie odbiorę i jeszcze

przedtem postaram się komuś życie odebrać. Tak mówiłem, a oni "Twierdy Polak musisz wyjechać" Wreszcie sześć blankietów mi dali, jednakowych, w każdym chyba po sto pytań. Napisałem to wszystko i przyłożyłem fotografię, a powiedziałem fotografowi "niech pan mnie zrobi na osiemdziesiąt lat". I rzeczywiście zrobił ze mnie staruszka. To chodziło ze sześć miesięcy, wezwali i mówią: "Wierchowny Sowiet nie zdjął z ciebie obywatelstwa musisz jechać". A ja: "No cóż tego, nie pojedę". Wtedy powiedzieli, że jednak Wierchowny Sowiet zdjął obywatelstwo, podpisałem na kilku papierkach, że przyjąłem do wiadomości. Od 1952 roku już mnie nie zapraszali. W 1977 odwiedziłem rodzinę w Rosji. Ale obojętnie mnie przyjęli. Ja przeżyłem makabryczne życie, taki "młynok".